Tom I. Nr. 13.

1. Listopada 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mieczysław II. i królowa Ryxa.

Dwóch synów miał nasz Chrobry Bolesław: **Bezprem** czyli z niemiecka zwanego **Ottonem**, i **Mieszka** czyli **Mieczysława**. Starszy Bezprem rodzony był z królewny Węgierskiej — młodszy zaś Mieszko miał Polkę za matkę. Toć jako dzieci nie jednej matki, różnej też byli natury. Starszy więcej patrzył na cudzoziemca niż na Polaka, takoż wszystko co obce bardziej mu pachło a niżeli swojskie; przeciwnie młodszy był duszą i ciałem Polakiem. Zauważył to ojciec ich Bolesław, i dla tego właśnie bardziej ku młodszemu się skłaniał niż ku starszemu. Więc kiedy śmiertelnie zachorzał, i stawili się starsi z narodu przed łoże królewskie, aby się o jego ostatnej wola dowiedzieć, polecił im król młodszego Mieczysława jako swego następcę. Uczynił zaś to nie z żadnego gniewu przeciwko starszemu synowi, ale jako miły ojciec narodu stanowił tego królem, którego bardziej lud polski miłował. I uszanował naród wolę królewską, i oddał po śmierci wielkiego ojca koronę polską Mieszkowi.

A piękny, bogaty i potężny był kraj polski, jaki przekazał ojciec Bolesław synowi swemu. Toć trza było jeno kochać go, a pilnować bacznem okiem, aby broń Boże czego nie zatracić z tej ojcowskiej możnej dziedziny. I czynił tak Mieczysław w pierwszych latach panowania swego, jako że był to pan mężnego serca, co mu nawet nieprzyjaciele przyznają, i dobrej woli dla narodu. Zaczem błogi był spokój w kraju, i granice państwa stały nietykane od nieprzyjaciół, którzy jako przed ojcem Bolesławem, tak z razu i przed synem jego Mieszkiem potężnego mieli boja. Aliści trza było tego nieszczęścia, żeby Mieczysław, co taki był duszą i ciałem Polak, gdzieś w obcym kraju upatrzył sobie cudzoziemkę na żonę. Pochodziła ona z wysokiego bo z cesarskiego rodu. — a było jej Ryxa na imię. Nieszczęsnęż-bo to imię! po dwakroć dało się Polsce we znaki. Pierwszą razą było to jeszcze za króla Popiela, o czem już wam wiadomo, że go myszy wraz z niepoczciwą żoną zagryzły — a po raz drugi oto właśnie za Mieczysława tego nabawiła nas Ryxa srogiego kłopotu.

Skoro przybyła do kraju naszego, już̇ci męża swego jako podstępna niewiasta zawojowała z kretesem, i każdej woli swojej posłusznym go uczyniła. I stałci się przy niej ten waleczny Mieczysław, syn króla Chrobrego, jako baranek potulny, żeć tańczył jak mu zagrano. Więc naprzód za tą królową przywędrowała istna szarańcza cudzoziemców, łakomych na chleb polski. Nimi to obstawiła się Ryxa na dworze, drugich zaś poosadzała w kraju na wielkich urzędach — a król choć na to niechętnem patrzył okiem, taki nic nie rzekł, niechcąc się żonie sprzeciwić. Poczęła potem wyśmiewać nasze zwyczaje a zaprowadzać obce, cudzoziemskie — i temu rad nierad musiał się poddać król Mieczysław. Dalej potrzebując dużo pieniędzy na wyprawianie hucznych uczt i rozmaitych zabaw, chytrze nakłoniła męża, aby na kraj większe nałożył podatki — i uczynił to król, poświęcając miłość i dobro narodu dla miłości żony rozrzutnicy. Nareszcie ,we wszystkiem królowa rej wodziła: ona rozdawała urzęda, ona sądziła sprawy — na czem nasi zawsze wychodzili najgorzej, a obcych przybłędów mnożyło się w kraju coraz więcej i panoszyło na polskim chlebie. Na to wszystko biadał

król w sercu, ale nie śmiał otworzyć usta ze skargą przeciw żonie własnej — tak ci go srodze zawojowała ona podstępna niewiasta.

„Biadaż temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi“ — i prawda, że gorzej nie mogło być w Polsce jak za rządów tej Ryxy, której król Mieczysław ulegał. No, ta i cóż potem?... oto w kraju powstał nieład i wielka bieda, ludzie coraz głośniej poczęli szemrać i narzekać, i dla króla nie mieli już tak dobrego serca jak przedtem — nareszcie nieprzyjaciele, miarkując takie niedobre rządy w kraju naszym, nabrali teraz ducha i ze wszystkich stron ruszyli zbrojno na Polskę, radzi że przecie na synie pomszczą się za te wszystkie cięgi, jakich się byli nabrali od ojca jego Bolesława. Do tego jeszcze i brat królewski, on starszy Bezprem, który dotychczas siedział cicho i nic nie mówił, choć srogi miał żal przeciwko bratu, że go od korony odsadził, jął teraz w kraju dołki kopać pod królem. Na szczęście rychło w czas dowiedział się o tem Mieczysław i nagnał go z kraju. Tedy on wygnaniec skoczył do Węgier, gdzie był królem niejaki Szczepan, wuj jego rodzony. Tego jak zaczął zwinnym językiem judzić przeciwko Polakom, a zwłaszcza naprzeciw królowi bratu swemu, tak wreście dokazał tego, że pierwszi Węgrzy się ruszyli, i od południa najechali kraj polski, leżący po tamtej stronie Karpat, co się zowie Słowaczyzną. A że się to stało niespodzianie, więc bez wszelkiej trudności zagarnęli jednym zamachem całą Słowaczyznę aż po same góry. Z drugiej strony cesarz niemiecki Konrad II. na czele licznego wojska wpadł w polskie granice — z trzeciej książę czeski Brzetysław najechał Morawię co należała do Polski, podbił ją sobie, i jużci jej potem nigdy nam nie oddano. Nakoniec od wschodu ruszył książę Jarosław z Kijowa i opanował polską Ruś czerwoną.

Dopierożto widząc tyle na raz wrogów przed sobą, król Mieczysław opamiętał się i poznał jako źle zrobił: naprzód żeniąc się z cudzoziemką, a potem dozwalając jej rej wodzić nad sobą. Ale już było po niewczasie żałować! — „mądry Polak po szkodzie“ powiada stara przypowieść; sprawdziłać się ona i na Mieczysławie naszym. Zmądrzał on, ta opamiętał się, jeno

że już na nieszczęście za późno — ze wszystkich stron obskoczyli go wrogi, a każdy szczerzy zęby na piękną Polskę, a każdy radby jaki dobry kąsek urwać... jak to się wszystkim obronić?... ponoć trudny to będzie ratunek! — A przecie nie zatrwożył się nasz waleczny Mieczysław, bo takim się znowu stał w tej chwili opamiętania. Więc Boga wezwał na pomoc, i powołał naród do obrony, który widząc króla w dawnej mężnej postawie, stawił się zbrojno i ochotnie pod jego rozkazy. Z wszystkiemi naraz niepodobna było wojować, wypadało naprzód z jednym wrogiem się uporać, a dopiero brać się do reszty. Najniebezpieczniejszym był cesarz Konrad — toż najsamprzód na niego zamierzył się z wojskiem swojem Mieczysław. I choć to był rycerz nie lada jaki, ten Konrad, taki mu dali nasi radę, i raz po raz pobili na głowę. Aż cesarz jak niepyszny musiał się cofnąć od granicy polskiej, i nic nie skurawszy powrócił do domu. — Tak pozbył się Mieczysław jednego nieszczęścia. Zaledwo też odetchnął i miał już na innych nieprzyjaciół uderzyć, aliści słyszy, że Konrad niebawem wybiera się na nową wyprawę do Polski. Namówił go do tego brat Mieczysława, on starszy Bezprem. W Węgrzech nic dla siebie nie skórał, bo wuj Szczepan, zdobywszy Słowaczyznę, jakośmy już powiedzieli, osadził tam syna swego Emeryka, a siostrzeńca z kwitkiem odprawił. Popróbował więc Bezprem lepszego szczęścia u cesarza Konrada. I w samej rzeczy, jak go zaczął prosić, a wymyślać na brata Mieczysława, a przedstawiać mu prawo swoje po starszeństwie do polskiej korony — takci Konrad dał się wreszcie przez niego namówić, i z początkiem jesieni następnego roku, zgromadziwszy potężne siły, wybrał się po raz drugi na Polskę. Wojsko podzielił na dwa oddziały: nad jednym sam przewodził, drugi poddał pod rozkazy zawziętego Bezprema. — Wieleć było złego na jednego! biedny Mieczysław stawił im długo waleczny opór — ale nareszcie tak przeważnej sile uledz musiał, i prosił cesarza Konrada o pokój. Ten jak się zdawało nie był od tego; ale brat jego, on zawzięty Bezprem, który drugiem wojskiem dowodził, ani dał sobie mówić o jakiej zgodzie. I trwała dalej zacięta bójka pomiędzy braćmi. Aż po miesiącu nie było już żadnej rady dla Mieczysława; musiał uciekać

przed starszym bratem z Polski, i na chybił trafił udał się do kraju czeskiego, szukając tam gościnności. A Ryxa żona jego? jakże wam się zdaje, czy poszła za mężem na wygnanie, aby go pocieszać w nieszczęściu?... tak ci tam właśnie! ani jej to przez myśl nie przeszło — myślała ona o swojej własnej skórze, więc cichaczem spakowała mnogie skarby królewskie, i z synkiem swoim, nieletnim Kazimierzem co tchu do Niemiec zemknęła, gdzie jako wielka pani i krewna cesarska niezmierne posiadała dobra. Toż kiedy ona tam u siebie rozkoszowała w dostatkach, w tym czasie Mieczysław nasz cierpiał srodze u Czechów, bo zamiast gościnności doznał od nich niewoli i ciężkiego więzienia.

A w Polsce zdrajca Bezprem ogłosił się królem — i królował sobie, oj bardzo niedługo! bo zaledwo kilka miesięcy minęło, a jużci przyszła „kréska na Matyska"..., i skręcono kark niecnocie. Widocznie Pan Bóg go ukarał za zdradę: ta że na własny kraj i na rodniego brata nawodził wojska cudze — ta że z chciwości za tą koroną, do której żadnego a żadnego nie miał prawa, bo go i ojciec nieboszczyk a potem i sam naród od niej odsądził, tyle bratniej krwi rozlał. — Wkrótce po śmierci jego wydostał się nasz biedny Mieczysław prawdziwym cudem z więzienia, i szczęśliwie do swojej ojczyzny powrócił. Ależ dla Boga! rodzona matka jużby go nie poznała, tak bardzo się zmienił nasz król nieszczęśliwy w onej czeskiej niewoli. Tam to nabawił on się sromotnego kalectwa i cały podupadł na duchu. I niedziwota że teraz stał się gnuśnym i niedbałym, że pozwolił w kraju robić co się komu podobało, że się ukorzył przed tymi wrogami, których dawniej niejedenkroć razy walecznie pobił, i że nareszcie jak powiadają, na dobitek nieszczęścia błąd go się chwycił i w takim smutnym stanie dokonał żywota.

Dopieroż to, mój mocny Boże, na osieroconą Polskę ze wszystkich stron uderzyły pioruny. Jakby na jej wieczyste zatracenie spiknęli się wrogi, tak raz po raz zapuszczali teraz wojska swoje w bezbronne granice Polski na dowolny rabunek. Najbardziej dokazywali Czechy pod przewodnictwem srogiego księcia Brzetysława. Oni to złupili Kraków i do szczętu go

zniszczyli. Toż samo i królewskie miasto Gniezno padło im ofiarą — wszystkie kościoły świętokradzką ręką obdarli, nawet grobowiec świętego Wojciecha nie poszanowali, z dzwonic pozabierali dzwony, ze skarbów kościelnych bogate ornaty i inne księże przybory — słowem co było do wzięcia to brali i ładowali na wozy, a biedny lud polski zakuli w kajdany i pognali do kraju czeskiego na niewolę.

I stała się potem nasza Polska, gdyby jedna wielka pustynia — nie ujrzałeś tam ani śladu dawnych bogactw, pogorzały wsie zamożne, z pysznych miast pozostała jeno kupa kamieni, a po świętych kościołach zwierz dziki założył legowisko.

Gdybyż teraz nasz Chrobry Bolesław zmartwychwstał z grobu i zobaczył tę Polskę, którą przed laty niewielu tak pięknym, bogatym i potężnym krajem zostawił w dziedzictwie synowi — a toć by pewnie od zgrozy i żalu oczy zamknął napowrót i położył się martwy do grobu...

I patrzcie, jako się nam przysłużyła ona Ryxa druga, obcego rodu niewiasta, a żona Mieczysława II.

ROZMAITE SPIEWKI.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

Arendarz zaprasza do karczmy, a ludzie tak mu odśpiewują:

Nie zaczepiaj mnie żydzie,
Bo nie pijak to idzie —
Idzie sobie gospodarz,
Winka jemu nie podasz —
Choć podasz, to z fusami,
Smierdzące bachurami;
Nie, żydzie, nie wstąpimy,
Idź do Jerozolimy!

Na nieporządną i niechlujną dziewkę.

A kto pani? Magda pani —
Przeszłoroczne błoto na niej:
Nie trza wsi jej ni folwarku,
Lepszy ugor na jej karku!

Gwałtu, Magda nam się wścieka,
Bo od wody coś ucieka!
— Ej, nie wścieknie się da Bóg,
Jeno żal jej błota z nóg.

Hau! hau! hau!

czyli jak Michaś student szczekał, a młynarz Czmiel uciekał.

(*Opowiedział Walenty ze Smolnicy.*)

Murowanym gościńcem, już dobrze z wieczora, pędził rażno wóz parokonny, a brzęczał i dudnił po kamieniach, że go słychać było na ćwierć mili z dala.

Na wozie, na wysoko wyścielonem siedzeniu leżał wygodnie rozparty z fajką w gębie, z czapką na bakier Kuba Czmiel, bogaty i hardy mielnik z Kobyłoboków.

Wracał z jarmarku z pełnym trzosem za sprzedaną mąkę i z pełniejszym jeszcze brzuchem od wszelakiego jadła i trunku, którego sobie nigdy nie lubił żałować, co też po prawdzie było poznać już po jego setnej otyłości, jego tłustych pyskach i wiszącem podgarlu.

I dlaczegożby z resztą miał sobie ujmować od gęby, kiedy jak ludzie mówili, pieniędzy miał jak grysu, a ni krewnych, ni dzieci w domu, że choćby i chciał, nie było zbierać dla kogo. Młyn jego na dwóch kamieniach nie ustawał ani we dnie ani w nocy, dobry pytel na kilka mil z daleka przywabiał ludzi, a do tego nikt nie zapamiętał, aby mu się kiedy przerwała grobla lub zatrzymało koło.

Kuba Czmiel byłto sobie bogacz całą gębą, a lubo jeszcze jego ojciec był pastuchem przy nierogaciznie gromadzkiej, to już teraz ani patrzeć się nie chciał na prostego chłopa i miał się już za równego samemu nawet dziedzicowi.

Ale mniejsza jeszcze o to. Przebaczyćby można tę pychę, bo jak to mówią: zawsze wół zapomina kiedy był cielęciem — ale trudno mu było nie brać za złe, że dbając tylko o własne dobro i wygody, nigdy ani ubogiego nie wspomoże, ani kościół niczem nie udaruje. Patrzył tylko aby mu ciągle puchła kieszeń, aby codzień dobrze zjadł, wypił, ta i przespał się należycie.

Ot i teraz drzemie mu się na wozie, oczy kleją się na gwałt, a tu koniecznie co chwila trzeba zacinać i popędzać konie, bo słońce jakoś niedobrze za czarną zachodziło chmurę, niebo posępniało coraz więcej, i jakoś duszno się robiło w powietrzu.

— Będzie deszczysko — mruknął Kuba i z niesmakiem głasnął się po brzuchu, bo do domu miał jeszcze dobre dwie mile, a śród całej drogi nie było nigdzie ani karczmy ani dachu, gdzieby się ochronić można, zmoknąć zasie boi się opasły mielnik jak diabeł święconej wody.

— Tfy! — splunął i do połowy wytrząsł fajkę — trzeba napędzać a tu mi się jakoś na sen zbiera. Żeby to choć można z kim pogadać i rozruchać się cokolwiek.

Aż tu patrzy przed siebie, a ścieżką wzdłuż gościnca spieszy raźnym krokiem jakiś młody wędrowiec w sukiennej kapocie z kijem w ręku i sporem zawiniątkiem na plecach.

— Oho! to jakiś z waszecia! — mruknął mielnik i wydął wargi.

Ale wtem wędrowiec się obrócił z dala, a opasły mielnik ujrzał twarz znajomą.

— Tiufiu! toż to nasz Michaś skubent! poszepnął.

W samej rzeczy był to student Michaś Gągol, syn ubogiego chłopa z Kobyłoboków. Już od dziesięciu lat bez wszelkiej pomocy chodził do szkół w Rzeszowie, a teraz jak zwyczajnie, wracał na wakacye do domu.

A trzeba wiedzieć że to był dziwnie walny chłopiec ten Michaś.

Dzieckiem pasł gęsi na probostwie, i tak się umiał przypodobać księdzu proboszczowi, że go sam nauczył czytać na książce i nieraz mu coś mądrego powiedział to o tem, to o owem.

Michaś był okrutnie ciekawy, słuchał pilnie księdza proboszcza, a w duchu myślał wzdychając:

— Ach mój Boże! żeby to ja był kiedyś tak mądry jak ksiądz proboszcz.

Ale na nic nie był tak ciekawy, jak na te obrazy co

wisiały długim rzędem w zakrystyi a przedstawiały rozmaitych królów i rycerzy w zbroi.

Pytał Michaś księdza proboszcza co znaczą te obrazy, i otrzymał odpowiedź, że to są dawni polscy królowie, hetmani i wojewodowie.

Biednemu Michasiowi aż łzy zakręciły się w oczach.

— Matko najświętsza! — poszepnął — toć i ja choć syn prostego chłopa, ale zawsze jestem Polak, a nic a nic nie wiem o naszych dawnych królach, hetmanach i wojewodach. Ksiądz proboszcz opowiadał mu nieraz, jak to oni nietylko samą swą ojczyznę, Polskę kochaną, ale i cały inny świat chrześcijański, serdecznie krwią swoją bronili przeciw pogańskiej niewoli, i ile to wielkiego dokazywali na świecie, że aż głupieli inne postronne narody!

A szczególniej utkwiło w pamięci Michasia to co mu ksiądz proboszcz napomknął o królu Janie Sobieskim, coć to nietylko z własnej ojczyzny z krwawemi łbami gnał Turków i Tatarów, ale błagany o pomoc, pospieszył z wojskiem polskiem ratować cesarza niemieckiego, którego stolicę, (dobrze wam znany, moi mili, Wiedeń) Turcy obsaczyli do koła i szturmowali ze wszystkich stron. Ale taką im kurtę skroił nasz król Jan waleczny, że już od tego czasu nigdy się nie opamiętali, i na zawsze już podupadła moc pogańska.

Owóż tedy rozmyślając o tych polskich królach, hetmanach i wojewodach, rzekł sobie Michaś z silnem postanowieniem:

— Niech się dzieje co chce, ale kiedym przecie Polak, to muszę o naszej sławnej polskiej historyi i o czynach naszych ojców i dziadów wiedzieć tak dobrze, jak i sam ksiądz proboszcz.

Toż już od tego czasu o niczem nie myślał, tylko jakby się wybrać do szkół i zacząć nauki.

Ksiądz proboszcz pochwalił ten jego zamiar, posprawiał mu nawet suknie i potrzebne książki, i dał mały zasiłek na drogę, a ojca nakłonił, że przyrzekł zanosić co tydzień parę bochenków chleba do szkół synowi.

I tak Michaś Gągol rozpoczął swe nauki, i co roku szło mu już lepiej i łatwiej w utrzymaniu, i już się obchodził bez

pomocy ojca, a tylko niezgasłą wdzięczność zachowywał dla łaskawego proboszcza.

Teraz wędrował do domu na wakacye, gdzie się miał ze swoimi pożegnać na dłuższy czas, bo skończywszy wszystkie szkoły w Rzeszowie, wybierał się już do Lwowa.

A biedak spieszył się co mu sił stało, bo widział jak się chmurzy na niebie i parno robi w powietrzu, więc chciałby jeszcze przed deszczem dobiedz gdzie pod ochronne poddasze.

Radość wstąpiła w niego, kiedy ujrzał zdala jakąś furę, a jeszcze więcej się ucieszył, kiedy poznał ze swojej wsi mielnika Czmiela, najbliższego sąsiada swego ojca.

Zabiegł mu też prędko drogę, i kłaniając się uprzejmie czapką, zagadnął pokornie:

— Ej panie młynarzu!

Kuba Czmiel powstrzymał konie, i spojrzał na wędrowca z pod oka z drwiącym uśmiechem.

— A co tam powiesz panie skubencie, człeku uczony — ozwał się kiepkując sobie potroszę.

Michaś jeszcze raz ukłonił się nisko młynarzowi.

— Na ulewę się zanosi — przemówił z chlebnym uśmiechem — możebyście mnie podwieźli, panie młynarzu.

Czmiel głasnął się po brzuchu, i puścił spory kłąb dymu przed siebie.

— Pan skubent chciałby się przejechać — cedził przez zęby z kpinami — boi się deszczeku bożego, może on sobie z cukru albo z soli?....

— Wolne żarty panie młynarzu — ozwał się Michaś — ale już pięć mil dziś uszedłem, nie umknę przed deszczem.

Opasły młynarz gładził się po grubym, wypukłym brzuchu, i pokiwywał głową z drwinami. Choć sam w duszy rad był mieć jakiegoś towarzysza podróży, aby się rozruchać i zabawić rozmową, nadął się teraz i napuszył jak indyk, bo chciwy i samolubny, nie zwykł był nic darmo uczynić dla drugiego.

Nuż tedy sobie drwić i kiepkować dalej:

— Hum, hum, hum, fiu, fiu, fi! pan skubent by się przysiedli, hm, hm, przysiedli!

— A pieniądze są w kabzie? — zapytał nagle.

Michaś uśmiechnął się tylko.

— Ot, coby panu młynarzowi przyszło z moich pieniędzy.

— Czy tak? mruknął młynarz, przedrwiwując sobie ciągle — pan skubent uczony, mudrahel! kuropatwę zjadł! gwiazdy rachuje na niebie, łyżką rozum łyka, to niechże sobie tam poradzi, żeby go albo nogi nie bolały, albo żeby się chmury rozbiegły na niebie.

— Dobrze żartować panu młynarzowi — przerwał Michaś.

— Wasze nie potrafisz tego wszystkiego? ha? — kiepkował sobie bogacz dalej.

Michasiowi krew napłynęła do głowy, ale się jakoś pohamował i rzekł z uśmiechem:

— Żartujcie sobie zdrowi panie młynarzu.

Kuba Czmiel zaśmiał się głośno, cmoknął językiem i wziął batóg w rękę.

— Kiedy tego nie umiesz bratku, toś dureń z twoją nauką, dureń bratku, oj dureń. A że ja mam rozum — dodał i uderzył się po pełnym trzosie — to ja się nie dam złapać durniowi na wędę. Chcesz jechać, to zapłać kochasiu, zapłać, bo ludzie co mają rozum, nic darmo nie robią.

Michaś student przygryzł wargi i gniew go już owładnął. Ale wtem jakby się raptownie inaczej namyślił, uśmiechnął się pokornie, i rzekł:

— Ha, to kiedy już tak mówicie, to cóż robić, zapłacę.

— Fififi — zaświstał młynarz — dasz dwa reńszczaki bratku?

Student aż odskoczył z miejsca.

— Dwa reńszczaki! zmiłujcie się, za dwie mile.

Młynarz zaśmiał się na całe gardło.

— Nie chcesz, to z panem Bogiem — zawołał ściągając lejce ku sobie — patrz, błyska na niebie, puści się ulewa, przemokniesz do nitki, zmarzniesz jak pies, a potem będziesz się musiał smarować wódką, a ogrzewać grysem, a nawet może i cyrulikowi dasz utargować. Porachuj to wszystko, a niewygodę, a utratę czasu, a przykrości z choroby, to zobaczysz, że cię prawie za durno podwożę.

Michaś zamyślił się, a widocznie coś niebezpiecznego ważyło się w nim we środku.

— Ha, cóż robić — rzekł prędko — prawda, macie rozum, wielki rozum! dam dwa reńskie.

— Dawaj!

— Aż w domu panie młynarzu, bo muszę piątkę zmieniać w karczmie. Moje zawiniątko kładę wam w zastaw.

— No no — przystawał młynarz — siadaj.

Michaś w jednej chwili wskoczył na wóz, i usadowił się w tyle.

Czmiel zaciął konie, i tuż zaraz z cesarskiej drogi skręcił na gościniec prywatny.

Po chwili obejrzał się i rzekł do studenta:

— Nie umiesz tam wasze jakiej bajki, bo mi się drzemie trochę — dodał głaszcząc się po opasłym brzuchu, jak to miał w zwyczaju.

Ale patrzy, a student dziwnie się jakoś skrzywił jak gdyby się zachlistnął octem, albo łyżkę pieprzu połknął naraz.

— At, dajcie mi tam spokój z bajką — odburknął i przykucnął w sam kąt wozu.

Młynarz spojrzał na niego zdziwiony, a potem raźniej zaciął konie, bo właśnie zbliżał się do małej rzeczki, przez którą trzeba było jechać w bród.

Student poskoczył nagle w zatyle wozu i zadzwonił zębami, jakby nim gwałtowna zatrzęsła febra.

— A co to wam skubencie? — zapytał młynarz trochę zniespokojony.

N... n... ic — wydzwonił zębami student, i tak jakoś strasznie wywrócił oczy, że tylko białka zostały na wierzchu.

— Cóżto wy chory? — zapytał mielnik przestraszony na prawdę.

— N... nie brr... uff... — wycedził student i znowu skrzywił się, że aż niemiło robiło się spojrzeć.

Młynarz odsunął się dalej, i lekkie mrowie przeszło go od stóp do głowy. Zaciął silniej konie, i zaczął z pagórka spuszczać się w bród rzeki.

Student znowu wstrząsł się cały.

— Brrr! uff! — wyjęczał student. Nie wiem jak to będzie ohuha!

— Cóż to wam takiego? do stu czartów! — wrzasnął młynarz w przestrachu.

— N... nic to, ale widzicie — jąkał student — przed tygodniem ukąsił mię pies na drodze!

— Pies! — krzyknął młynarz.

— Brr — ciągnął dalej student — pies wściekły!

— Wściekły! — powtórzył mielnik, a włosy jak zęby u brony stanęły mu na głowie.

— Ale ja sobie wypiekał — dzwonił student zębami, trzęsąc się cały.

Młynarz pobladł jak najbielsza mąka z jego młynu, a zęby mu dzwoniły jak jego pytel najgłośniejszy.

A w tej chwili wóz wjechał w bród rzeki, i zabrnął w wodę powyżej kół.

Student zerwał się na równe nogi. Przewrócił oczy, wywalił język, wyciągnął naprzód ręce i zawrzeszczał na całe gardło:

— Woda! woda! uhuha! hau! hau! hau! hau!

Mielnika już nie było na wozie. Rzucił batóg i lejce, i hoc w wodę jak diabeł w smołę. Zanurzał się biedak na razie, aby go wściekły nie chwycił w swoje zęby a potem środkiem rzeki nuż pędzić co sił stało, i wrzeszczeć w niebogłosy:

— Gwałtu! ratujcie! a pódzież! a huż ha!

I pędził i wrzeszczał nieborak z zamkniętemi oczyma, ani zważając, że nikt za nim nie goni, i że wóz wyjechał już z brodu i raźno dalej popędził gościńcem.

Przestraszonemu młynarzowi nie zawadzał już ani brzuch opasły, ani spory trzos pieniędzy, pędził jak opętany środkiem rzeki, a wrzeszczał i wrzeszczał:

— A pódzież! gwałtu! ratujcie!

I dopiero ubiegłszy z ćwierć mili, mógł się obejrzeć i wybiedz na brzeg. A choć nikogo nie widział, nie ustał pędzić przez pola, przez ścierń, przez głogi i ciernie uciekał i uciekał, aż nareszcie bez sił upadł na ziemię, a wtedy ściemniło się już zupełnie na ziemi i lunął deszcz jak z cebra.

We młynie tymczasem krzyk, wrzawa, harmider, że aż ściany chodzą.

Student zdrów i wesół jak ryba zajechał z wozem do młyna, ale gospodarz co według jego opowiadania miał piechotą iść zaraz za wozem, jak nie przybywał tak nie przybywał.

Młynarka w głowę zachodzi, parobków i sługi porozsyłała na wszystkie strony i całą noc oka nie zmrużyła.

A dopiero nad raniem zmęczony, zbłocony, znużony, ziajany a blady jak trup przywlókł się młynarz nieszczęśliwy. Za jedną noc brzuch mu opadł do połowy, i jeszcze nie ze wszystkiem otrząsł się nieborak z przestrachu.

Na razie nie można było ani słowa wydobyć od niego. Wlazł co tchu pod pierzynę, kazał smarować się wódką, okładać ciepłym grysem a nawet wysłał po cyrulika do miasta. Stało mu się kubek w kubek to wszystko, co przepowiadał biednemu studentowi.

Nazajutrz kiedy już zupełnie przyszedł do siebie, zaczął dopiero kilku znajomym opowiadać, co mu się przytrafiło strasznego, a wszyscy w śmiech na umor.

Trzeba bowiem wiedzieć, że biedny student psa wściekłego nie widział nigdy na oczy, ale zrobił sobie taki żart zabawny, aby ukarać bogatego samoluba za jego chciwość i twarde serce, ta i za to, że dufając na pieniądze, choć sam był prostak, nie ważył sobie za nic naukę, i kiepkował sobie z ludzi, co nie chcą żyć jak bydlęta, ale radziby podnieść i wykształcić w sobie tego ducha, którego wlał w nich Stwórca najwyższy.

Po takiej nauczce poprawił się wielce nasz samolubny młynarz, stał się znacznie lepszym i uczynniejszym dla bliźnich, a co najwięcej, nabrał wielkiego poszanowania dla ludzi, co się czegoś uczyli w szkołach. Tak się zasie wstydził swojej przygody z biednym studentem, że do samej śmierci nic go tak nie rozgniewało, jak kiedy mu kto przypomniał: Hau! hau! hau!

RÓŻNOŚCI.

Przestroga dla Rodziców. W jednem miasteczku przydybano raz w zimie małego chłopczynę na ulicy. Drobne to było, wyschnięte jak szczypa od nędzy i prawie bez nijakiego ubrania stojące na wietrze i mrozie. Toż jęczało w niebogłosy i tak się trzęsło na biednem ciele, że choćbyś z kamienia był, toby cię litość zdjęła na widok takiej mizeroty. Zbiegło się więc luda nie mało, i pierwszy co go dochwycił w litościwe ręce, obtulił to maleństwo na prędce w swoją kapotę, i do najbliższego poniósł domostwa. Gdy się cokolwiek ogrzało i ciepłą posiliło strawą, poczęli go wszyscy wypytywać: A jak się twój ojciec nazywa? — „Czart“ odpowie chłopczyna. — A twojej matuli jak mówią? — „Czart“ — A zkądżeś ty jest? — „Z czartowskiego gniazda,“ jak mówi tatuś i matula. — Zdumieli się wszyscy na taką odpowiedź, ani też kto zrozumieć mógł, jaka w tem jest prawda co chłopiec powiadał. Wtem jakiś świeży człek nadszedł z ulicy. Ten uwidziawszy chłopca, spoznał go zaraz że to synek gospodarza jednego z niedalekiej wsi, co się tu jakimś przypadkiem zabłąkać musiał. A gdy mu opowiadano, jaka była dziwna rozmowa z tem dzieckiem, dopiero on na to:

— No patrzcie, moiście wy ludzie, na co to człek się naraża, jeźli przed własnem dzieckiem języka nie strzeże i w grzesznej nieuwadze plecie co mu ślina do gęby naniesie. Ojcowie tego dziecka, których znam doskonale, niezgodni, złośliwi są ludzie i w wiecznej ze sobą poswarce. Niechno mąż nieco podczmielony wejdzie na wieczór do izby, jużci go żoneczka przywita: Masz tobie, o moje nieszczęście! jużeś się znowu zdoił, przeklęty czarcie! — Na co jej mąż, grożąc kułakiem, powiadał: — Milcz babo! tyś sama czart z czartów; a jeno miel mi dużo językiem, to cię i zwalę. — Już tedy tego wieczora nie dorachowałbyś się tych czartów, co ich sobie nagadali oboje w obecności dzieci. To znowu kiedy które dziecko coś nabroiło, wnet matuś do niego: — Ty przeklęty czarcie! To istny czart będzie jako i ojciec. — Abo inną razą kiedy się kłótnia wszczęła w domu, to jedno po drugim nuż wykrzykiwać do siebie: — A niech też wszyscy diabli wezmą! a dyć ten dom, to prawdziwe czartowskie gniazdo!... To też chłopiec takich rodziców, od maleńkości nawykły do czartowskiego imienia, na tem większą hańbę ojców swoich, ani zna oto, jakoby inaczej ich nazwać przed ludźmi.

Niechże wam to stanie za straszny przykład, rodzice, aby i wasze dzieci źle pouczane za młodu, takiem imieniem na starość was nie przezwali, i w obecności świata nie pohańbili wasz siwy włos. „*Czego się skorupka za młodu napije, tem trąci na starość*;“ uważcie to sobie dobrze, i dla miłości dzieci waszych i dla własnej bezpieczności przed Bogiem, przed którym kiedyś ciężki z tego zdawać będziecie rachunek, strzeżcie się popędliwości i złego języka, nie dawajcie maleńkim waszym zgorszenia ze siebie, a dochowacie się pewnej pociechy na swoje stare lata.

Burza. Znać niedosyć wyburzyło się lato, bo jeszcze coś i jesieni przekazało w dodatku na utrapienie ludzkie. Niedawno temu pisali z Krakowa o srogiej burzy z piorunami. Dziś znowu donoszą z Lutowisk ze Sanockiego, jako tam jeszcze sroższa panowała burza. Zerwałać się ona o godzinie 10 przed południem i trwała przez całe dwie godzin. Powiadają, że przez ten czas niepodobna było z domu głowy na dwór wychylić, tak śmigało gątami, których tysiące zerwane z dachów po powietrzu latało. Co więcej, wiatr był taki silny, żeć krokwie na 8 cali grube a długie na kilka sążni niósł kilkadziesiąt kroków daleko. Takoż siła drzew połomało i dużo innej ludziom poczyniło szkody.

Zaraza na ptactwo. Przychodzą różne choroby na ludzi, coć tak nagle chwytają że ani się spodziejesz, kiedy cię śmierć zgładzi ze świata. To znowu często gęsto zdarzy się pomór na bydło — strach to wielki dla gospodarzy. Dziś, dziękować Bogu, jakoś nie słychać bardzo ani o jednem ani o drugiem. Zato *ptactwo nieboractwo* doznaje złego licha w tym czasie. I tak na pruskim Slązku nie opodal miasta Raciborza już prawie od dwóch miesięcy panuje jakaś zaraza na jaskółki, żeć padają nieżywe jak muchy. W tymci samym kraju padła bieda i na gęsi, tak że ich wielka moc miała wyginąć. A znowu od Kalisza, co się tak nazywa jedno miasto w naszej Polsce, donoszą nam, że już sobie tam rady dać nie mogą biedne kobiety, tak się onem srodze drób marnuje, niewiedzieć z jakiej choroby. Proścież Boga, gosposie nasze! żeby was zachować raczył od takiego frasunku, zaś tamtych żeby jak najprędrzej zło ominęło.

Kto winniejszy? A bodaj was jasne pioruny siarczyste trzaskały z wołami! ta k'sobie! na! a bodajcie! — Stój chłopcze! co ty robisz? zawołał gospodarz na swego parobka Bartka, który okładając kozicą bydło, klął bez umiarkowania. — A no, jakżeż tu miły gospodarzu nie kląć i nie bić, kiedy te psiajuchy nie idą jak powinny, ozwał się Bartek. — Woły jak woły, — powie na to gospodarz — trzeba mieć wyrozumienie, robactwo tnie, nie dziwota, ogania się jak może bydlątko, a jako bezrozumne, nie wie, że nie idąc prosto, źle robi. Ale ty Bartku! wiesz że się kląć nie godzi, ani katować bydlęcia, a taki klniesz i katujesz..... *Któż tu przed Bogiem winniejszy?.....* Chłopcu jakby języka uciął, tak ani pisnął. Aż potem gospodarzowi pięknie się skłonił do kolan i poczerwieniał jak na to mówiąc burak ze wstydności, kiedy rzekł: No już się nie markoćcie na mnie gospodarzu, już ja źle czynił jak widzę, bo co prawda, to prawda — nie bydlątko ono nie rozumne, ale ja winniejszy przed Bogiem. Jeno że już się drugi raz na mnie to nie wykaże, to wam przyrzekam święcie!... Na to ucieszony gospodarz: — Dobrze Bartku, kiedy obiecujesz poprawę, bo inaczej t by mi strasznie o ciebie było markotno.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**